

## WIESŁAW ZABŁOCKI

**Andrzej Michał Kobos [AMK]** – *Panie Doktorze, czy przed „Solidarnością” był Pan zaangażowany w jakiś ruch opozycyjny lub quasi-opozycyjny na Uniwersytecie?*

**Wiesław Zabłocki [WZ]** – Wstrząsającym przeżyciem, które mnie ukształtowało, był Marzec 1968. Mam wspomnienie z ataku milicji na Collegium Novum. Przed budynkiem skandowaliśmy: „gestapo”, „gestapo”. Jedyna droga odwrotu wiodła do budynku Collegium Novum. Zorientowałem się, że otwarta była tylko jedna z żelaznych bram na zewnętrznych schodach. Próbowałem otworzyć drugą połowę tej kraty, ale skobel był mocno zarzdzewiały. Wobec tego z portierni szybko przyniosłem młotek. Odbiłem ten skobel bramy akurat w momencie, kiedy nastąpił kolejny atak milicji. Wszyscy cofali się, a ja w tłumie straciłem młotek. Faktem jest, że później milicja poszła z tym młotkiem do rektora, jako dowodem, że zostali zaatakowani przy użyciu niebezpiecznego narzędzia.

W sformalizowanych strukturach opozycyjnych nie uczestniczyłem. Była na Uniwersytecie grupa studencka (SKS), ale to już było trochę za późno dla mnie; skończyłem studia w 1968, byłem już asystentem na Wydziale Prawa, a to byli ludzie sporo młodszy ode mnie. Natomiast wśród pracowników działała komórka KPN-u. Złożyli mi propozycję wstąpienia do tej organizacji, ale ich poglądy i wizja mnie nie pociągały. Lubiłem ich, rozmawialiśmy, ale wydawali mi się oderwani od rzeczywistości.

**AMK** – *Co zapamiętał Pan z początków „Solidarności” na Uniwersytecie Jagiellońskim?*

**WZ** – W sierpniu 1980 byliśmy z żoną i synem w Szwecji. Mówiono nam tam wtedy: „Zostańcie w Szwecji, w Polsce szykuje się rewolucja”. Na to moja żona: „Jeżeli tak, to tym bardziej musimy wracać”. Wróciliśmy na początku września. To był fantastyczny okres.

Dla mnie najbardziej charakterystyczne było z końcem września 1980 pierwsze ogólnouniwersyteckie zebranie organizacyjno-założycielskie w sali

nr 52 w Collegium Novum. Byli na nim członkowie Komitetu Założycielskiego „Solidarności”, a z drugiej strony grupa osób broniących Związku Nauczycielstwa Polskiego (ZNP). Zebranie było niezwykle burzliwe, spór był silny. Przewodniczący ówczesnego ZNP (mniejsza o nazwisko) występował przeciwko zakładaniu „Solidarności”, bo to osłabiłoby Związek Nauczycielstwa Polskiego. Ale wyszły nieciekawe sprawy o dotychczasowych funkcjonariuszach ZNP, które zbulwersowały pracowników, np. obdarowywanie się rozmaitymi bonami i nagrodami. Dlatego właśnie niedługo potem powstała komisja „Solidarności”, która badała takie sprawy, kierowana przez Tomka Studnickiego.

To było pierwsze takie zebranie. Postanowiliśmy, że przystępujemy do „Solidarności”. Potem powstały komisje „Solidarności” w poszczególnych wydziałach i w instytutach oraz Komisja Uczelniana.

Zostałem wybrany na przewodniczącego „Solidarności” w Instytucie Nauk Politycznych, w którym pracowałem. To był instytut najbardziej upolityczniony, upartyjniony prawie w stu procentach. Władza bardzo źle to znosiła, bowiem Instytut powstał w bezpośredniej ripocie na wydarzenia Marca '68 – właśnie, aby nie powstawały takie sytuacje. A w tymże Instytucie wstąpiło do „Solidarności” przynajmniej 80 procent pracowników.

**AMK** – *Także jednocześnie partyjnych?*

**WZ** – Oczywiście, większość była partyjna. Tomek Studnicki był bezpartyjny i jeszcze dwie lub trzy osoby. Ja wtedy nie byłem już partyjny, ale do 1976 byłem członkiem PZPR-u. Wydarzenia radomskie w 1976 przelały moją czarę goryczy: niech się dzieje, co ma się dzieć, nie chcę z tym mieć nic wspólnego – i wystąpiłem z partii.

**AMK** – *Co utkwilo Panu najsilniej w pamięci z okresu pierwszej „Solidarności” na Uniwersytecie Jagiellońskim?*

**WZ** – Trudno mi na to odpowiedzieć, ponieważ w mojej pamięci nakładają się różne wydarzenia, których byłem świadkiem, a nadto wiele informacji dotyczących tego okresu, które uzyskałem później, tj. po przeczytaniu IPN-owskich dokumentów o Uniwersytecie. To, co zostanie mi na zawsze w pamięci – to ogromny wówczas entuzjazm, życzliwość obcych dla obcych, zaufanie i bezinteresowność wśród ludzi.

Mogę pochwalić się, że byłem założycielem „latającego uniwersytetu” UJ. Siłą rzeczy, do Uniwersytetu Jagiellońskiego płynęły prośby z komisji zakładowych „Solidarności” różnych zakładów pracy, aby ktoś z Uniwersytetu przyszedł i opowiedział im a to o Październiku '56, a to o Marcu '68, a to o KOR-ze itd. Szybko zmontowałem grupę wykładowców, którzy chodzili do zakładów pracy – do Huty, do Kabla, do szkół zawodowych; ja sam także chodziłem. Takie spotkania były bardzo liczne. Odpowiadając

na zaproszenia, jeździliśmy również poza Kraków, po terenie dzisiejszego województwa małopolskiego.

Druga sprawa była bardziej wewnątrzinstytutowa. Wiedzieliśmy, że do Instytutu Nauk Politycznych przychodzą książki i wydawnictwa z różnych części świata, ale nie mieliśmy do nich dostępu, nawet nie wiedzieliśmy, co się z nimi dzieje. Jednocześnie padały propozycje ze strony organizacji partyjnej, aby „Solidarność” – jako struktura – z nią współpracowała. Wymyśliłem więc, że zrobimy wspólną akcję, aby odblokować te książki. Nasi koledzy – członkowie PZPR – zobowiązali się przetrzeć szlak. Nic z tego oczywiście nie wyszło, bo partia nie pozwoliła tego skonkretyzować. Propozycje współpracy też ustały.

**AMK** – *Jak wyglądała na co dzień „Solidarność” na Wydziale Prawa UJ?*

**WZ** – To jednak było zupełnie coś innego niż na Wydziale Fizyki i Matematyki, Wydziale Chemii czy Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi. Zapewne decydowała o tym specyfika przedmiotu, która na Wydziale Prawa była bardziej polityczna. Nastąpiła tam dość silna polaryzacja stanowisk. Znikoma część profesury należała do „Solidarności”. Kilku było sympatykami, ale nie byli aktywni w tym stopniu, jak profesor Tadeusz Zieliński od prawa pracy czy profesor Andrzej Kopff od prawa wynalazczego. Trzeciego profesora z Wydziału Prawa, czynnie zaangażowanego w „Solidarność”, nie znajduję. Natomiast zaktywizowana była młodzież: asystenci, adiunkci. Wśród nich zaangażowanie w „Solidarność” było masowe.

**AMK** – *Był Pan również ekspertem prawnym w Regionie Małopolska „Solidarności”.*

**WZ** – Skupiamy się w tej rozmowie na Uniwersytecie – co jest zrozumiałe. Jednakże – kiedy byłem przewodniczącym komisji instytutowej „Solidarności”, a później członkiem Komisji Wydziałowej – moja główna działalność w „Solidarności” była obok Uniwersytetu.

Tadeusz Syryjczyk wymyślił, że jeżeli chcemy mieć wpływ na władzę, to musimy w niej mieć jakiś udział i wobec tego, że w lutym 1982 miały odbyć się wybory do rad narodowych stopnia podstawowego – dzisiejszych gmin, zrobimy projekt ordynacji wyborczej, który, dając startującym jednakowe szanse, byłby standardową demokracją. Ponieważ chodziło o najniższy stopień administracji terenowej, to naiwnie zakładaliśmy, że władza komunistyczna może to łyknąć i w ten sposób poszerzymy demokrację i zaktywizujemy ludzi, by startowali w wyborach.

Powstał zespół, w skład którego wchodził: nieżyjący już profesor Marek Sobolewski, Tadeusz Syryjczyk, Tomek Studnicki, Krzysztof Pleszka i ja. Inne ośrodki też robiły rozmaite projekty, ale projekt krakowski zyskał największe uznanie wśród kierownictwa „Solidarności”. Z naszego zespołu ja

byłem tym, który jeździł do Warszawy na spotkania doradców „Solidarności” referować ten projekt. Pomysł był taki, że jeżeli „Solidarność” go zaakceptuje, to znajdziemy 15 posłów – bo tylu trzeba było – którzy wniosą ten projekt ordynacji pod obrady ówczesnego Sejmu.

Mam ciekawe wspomnienie z tych spotkań doradców „Solidarności” w Warszawie, którym przewodniczyli Bronisław Geremek albo Tadeusz Mazowiecki. Na jednym z takich spotkań Mazowiecki (który akurat przewodniczył) powiedział, że nasz projekt jest do niczego, ponieważ nie daje komunistom żadnych szans, nie tyle dlatego, że są takie a nie inne w nim zapisy, ale ze względu na atmosferę panującą w kraju i – dalej – że jeżeli nie przygotuje się projektu, który gwarantuje im przynajmniej partycypowanie we władzach lokalnych, to taki projekt nie przejdzie. Mazowiecki został zakrzyczany – to było grono około 30 bardzo zacnych ludzi, profesjonalistów, z Warszawy, z Krakowa – nikt tego nie rozumiał, wszyscy skoczyli na Mazowieckiego – łącznie ze mną: „Więc po co to robić?”. Tu zgodność była absolutna. Mazowiecki nie powiedział wówczas, jakie miałyby być konkretne zapisy, aby komunistom zabezpieczyć udział, ale powiedział jednoznacznie, że nie może ich ta ordynacja w praktyce z góry eliminować. Mówił, że jeżeli chcemy uzyskać jakiś sukces, to musimy uwzględnić realia, a realia są takie, że nikt dobrowolnie nie da sobie wydlubać oka.

Dodam, że w trakcie prac nad ordynacją wyborczą, bodaj w listopadzie 1981, zorganizowaliśmy w Krakowie, w UJ, dwudniową ogólnopolską konferencję naukową poświęconą tej ordynacji. Wzięli w niej udział konstytucjoniści z kilku ośrodków naukowych w Polsce. W drugim dniu konferencji został powołany zespół, któremu powierzono uwzględnienie uwag i pomysłów podnoszonych w trakcie konferencji. Nie pamiętam pełnego składu tego zespołu. W każdym razie poza mną w jego skład wchodził profesor Jerzy Ciemniewski i nieżyjąca już profesor Janina Zakrzewska. W ramach tego zespołu przygotowano ostateczną wersję ordynacji wyborczej.

Ta ordynacja została uchwalona na ostatnim zjeździe „Solidarności”, 12 grudnia 1981 w Gdańsku. W kilka godzin później został wprowadzony stan wojenny i wszystko wzięło w łeb. Dzisiaj chyba nikt o tym nie wie albo nie pamięta.

W 1989 przypominałem sobie tamte słowa Mazowieckiego – to nie było coś, co wymyślono przy Okrągłym Stole, bo Mazowiecki miał ten pomysł już w 1981, wyraźnie o tym mówił do grona doradców „Solidarności”. To jest sprawa nieznaną w Polsce – nie wiem dlaczego.

**AMK** – *Czy był Pan w Gdańsku na ostatnim zjeździe „Solidarności”?*

**WZ** – Tak. Miałem referować tam ten projekt. Też nie bardzo można było się w Gdańsku dogadać. To na pewno byli szlachetni ludzie, ale atmosfera była tam taka: bierzemy całą władzę, nie po kawałeczku. W Gdańsku wtedy

pytano: „Dlaczego tylko do gmin? Wybierajmy tak wszystkie rady, wojewódzkie też”. A nasza krakowska propozycja brzmiała: „Uściubmy ten kawaleczek – to wydaje się realne”. Ta ordynacja została przyjęta przez zjazd „Solidarności”, ale w pewnym stopniu zakrzyczano nas, że to jest za mało.

**AMK** – *W kilka godzin później nawet i to było za dużo. Wprowadzono stan wojenny. Czy w dziesięć lat później wykorzystano ten projekt?*

**WZ** – Tego projektu już nigdy nie wykorzystano. Zakończył swój żywot 12 grudnia 1981 na ostatnim zjeździe „Solidarności”. Po 1989, gdy byłem ekspertem Komitetu Obywatelskiego, współpracowałem przy paru projektach ordynacji wyborczych i z pewnością w jakiś sposób korzystałem z tego, co z tamtego projektu zostało w mojej głowie.

**AMK** – *Jak zdołał Pan 12 grudnia wrócić z Gdańska do Krakowa?*

**WZ** – Najpierw może o tym, że z trudem dojechaliśmy do Gdańska. W sześć osób z Regionu dolecieliśmy samolotem z Krakowa do Warszawy, ale nie do Gdańska; potem odwieziono nas na dworzec PKP. Na dworcu powiedziano nam, że nie ma pociągu, a może miejsc – w każdym razie atmosfera była napięta i zaczynały się utrudnienia. Kolejarze, gdy dowiedzieli się, że jedziemy z Krakowa na zjazd „Solidarności” do Gdańska, zaraz załatwili, i w ten sposób z Warszawy do Gdańska w sześć osób dojechaliśmy pociągiem towarowym, w lokomotywie elektrycznej. Ten towarowy pociąg dojechał do Gdańska bez zatrzymywania, jak ekspres.

Był wtedy w Gdańsku samochód z Krakowa, fiat 125p. A powrócić miało sześć osób plus kierowca. Z Andrzejem Hudaszkiem, przewodniczącym Komisji Rewizyjnej Regionu, wyjechaliśmy do Krakowa pociągiem, jeszcze przed formalnym zakończeniem zjazdu, gdy Komisja Krajowa prowadziła głosowanie nad wnioskami. Było to około godziny dwudziestej. To nas uratowało. Tych, którzy później pojechali tym fiatem, tj. Wacka Sikorę (przewodniczącego Regionu), Stefana Jurczaka, Tadka Syryjczyka i Jacka Marchewczyka, zatrzymano zaraz za Gdańskiem i osadzono w więzieniu w Iławie.

A ja z Hudaszkiem jechaliśmy pustawym pociągiem, nie mając pojęcia o niczym. Dojechaliśmy około godziny siódmej rano do Krakowa. Hudaszek wyszedł na wschodnią stronę dworca, a ja na zachodnią. Tam zobaczyłem stojące autobusy. Kierowcy siedzący w autobusach powiedzieli mi, że jest stan wojenny i dlatego jest strajk MPK, więc autobusy stoją.

Doszedłem Plantami do Collegium Novum. Spędziłem tam cały dzień i następną noc, bo trzeba było ukryć część materiałów, które znajdowały się w sali nr 4 – pokoju „Solidarności” – w tym wydawnictwa i książki. Schowaliśmy to w kotłowni i to się uratowało. Powielacz wywieziono, zdaje się, do Instytutu Fizyki. Nad ranem w poniedziałek zdrzemnąłem się w jednym

z pokoi, ale wkrótce obudziła mnie portierka, mówiąc, że muszę szybko wyjść, bo ten pokój jest przeznaczony dla komisarza wojskowego, jakiegoś pułkownika z uniwersyteckiego Studium Wojskowego.

**AMK** – *Wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego na Wydziale Prawa – na prośbę hutników – została opracowana ekspertyza prawna o nielegalności prawnej wprowadzenia stanu wojennego.*

**WZ** – To była akurat moja ekspertyza, choć kilku moich kolegów z Wydziału Prawa było w nią zaangażowanych. Ciekawa sprawa – mówiło się, że społeczeństwo polskie miało lekceważący stosunek do prawa. Tymczasem natychmiast w poniedziałek, 14 grudnia 1981, przyszli na Uniwersytet pracownicy Huty z żądaniem napisania prawniczej ekspertyzy co do legalności wprowadzenia stanu wojennego. Tomek Studnicki poprosił mnie wtedy, abym napisał taką ekspertyzę. Poszukałem tekstu konstytucji. Z formalnego punktu widzenia było oczywiste, że stan wojenny był nielegalny, ponieważ w konstytucji PRL-u było wyraźnie napisane, że Rada Państwa ma takie uprawnienia, lecz w okresie między sesjami Sejmu – a rzecz działa się w okresie, kiedy Sejm obradował. Napisawszy tę ekspertyzę, niedługo – na stronę lub mniej – nie bardzo wiedziałem, jak ją podpisać. Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie podpisać ją „Prawnicy Uniwersytetu Jagiellońskiego”. Wobec tego zebrałem kilku kolegów: Tomka Studnickiego, Zbyszka Ćwiąkalskiego, Krzysztofa Pleszkę, Stanisława Biernata, Andrzeja Wasilewskiego i jeszcze kilku innych, na pewno ponad dziesięć osób. Wnieśli jakieś drobne poprawki. Mogłem więc podpisać tę opinię prawną „Prawnicy Uniwersytetu Jagiellońskiego”.

**AMK** – *Komisja weryfikacyjna powołana w stanie wojennym odsunęła Pana od zajęć ze studentami na Uniwersytecie...*

**WZ** – Komisja weryfikacyjna odbyła się z początkiem stycznia 1982. Miałem ten zaszczyt, że byłem jedyną osobą na Uniwersytecie, która została usunięta przez tę Komisję.

**AMK** – *A słyszałem zdania, że nikt nie został usunięty z Uniwersytetu...*

**WZ** – To był uniwersytet, a nie spółdzielnia mleczarska! Zostałem zawieszony. Pensję dostawałem nadal, tylko że pensja na Uniwersytecie składała się z pensji zasadniczej, nadgodzin, egzaminów itd. To wszystko ekstra odpadło, została goła pensja, która później, w efekcie, stała się podstawą obliczenia wysokości mojej emerytury.

Początek był dobry. Rektor Gierowski pocieszał mnie, mówiąc: „Wie pan, to wariatwo szybko się skończy”. Ja nagrałem tę rozmowę z komisją weryfikacyjną, a potem spisałem ją z magnetofonu i zaniósłem rektorowi. Po miesiącu dalej mnie pocieszał, ale za pół roku powiedział mi: „To była



komisja weryfikacyjna, już jej nie ma – nie ma pana kto odwieść”. Na tyle znam struktury Uniwersytetu, że musiała to być decyzja administracyjna kierownika jednostki, choć na wniosek komisji weryfikacyjnej. Mniejsza z tym. Starałem się potem zrozumieć sposób myślenia rektora. Byłem jedyną taką osobą. Wobec tego, że szkody dla Uniwersytetu były minimalne, np. w porównaniu z Uniwersytetem Warszawskim, Wrocławskim czy Śląskim, czy warto było walczyć z powodu jednej osoby? Wszak rektor musiał walczyć o cały Uniwersytet. Tak zostało. Po zmianie systemu nie chciano już odgrzebywać tej sprawy. Tak myślę.

Była jeszcze sprawa mojej habilitacji. Zawieszenie mnie nastąpiło w styczniu 1982, a moje kolokwium habilitacyjne wypadło w marcu 1982, więc do kolokwium przystąpiłem już jako pracownik zawieszony. Pomimo że w stanie wojennym polaryzacja stanowisk była bardzo wyraźna, uzyskałem wszystkie, bodaj trzy, recenzje pozytywne. Cenzura powiedziała, że moja praca habilitacyjna może ukazać się tylko w liczbie egzemplarzy koniecznej do przeprowadzenia habilitacji, gdyż jest politycznie niepoprawna. Kolokwium habilitacyjne zdałem z wynikiem pozytywnym, jednakże Centralna Komisja Kwalifikacyjna odmówiła zatwierdzenia mojej habilitacji. Odwołałem się, ale nic to nie dało.

Bardzo źle znosiłem sytuację, kiedy te nawet marne pieniądze brałem za nic. To mogło być zabawne przez kilka miesięcy, ale nie przez kilka lat. W 1988 roku nie wytrzymałem tego psychicznie i zwolniłem się sam. Po 1989 sprawa zaczęła się od nowa. Została wtedy powołana komisja pojednawcza przy ministrze pracy, działająca na prawach sądu. Zwróciłem się do tej komisji o przywrócenie do pracy. Odbyla się rozprawa, na którą w imieniu rektora UJ wysłano profesora Jacka Majchrowskiego. Została na niej zawarta ugoda, że Uniwersytet Jagielloński przywraca mnie do pracy i występuje do Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej o powtórne rozpatrzenie negatywnej decyzji habilitacyjnej. Na tym się jednak skończyło. Nie wywiązano się z tych zobowiązań.

*AMK – Przejdźmy, proszę, do tego, czym zapisał się Pan najbardziej chlubnie, tzn. do Pańskiej działalności w Arcybiskupim Komitecie Pomocy Więzionym i Internowanym.*

**WZ** – W przeciągu kilku dni po wprowadzeniu stanu wojennego działalność Komitetu Pomocy została zlokalizowana w Kurii Arcybiskupiej przy ul. Franciszkańskiej 3. Inspiratorem w moim przypadku był Tomek Studnicki. Zajęć na Uniwersytecie nie było, a wkrótce potem zostałem zawieszony na Uniwersytecie. Tomek powiedział mi wtedy: „Nie masz co robić, zgłoś się do Komitetu Pomocy”. Siedziałem w Komitecie każdego dnia. Pierwotnie udzielałem tam porad prawnych. Do Komitetu przychodziło po kilkadziesiąt osób dziennie. Ludzie nie wiedzieli, co to znaczy internowanie – na

długo czy na krótko, gdzie się odwołać? Prowadziliśmy spisy, właściwie kartoteki uwięzionych i internowanych, pośrednictwo między osobami potrzebującymi a adwokatami i lekarzami. Robiliśmy paczki i organizowaliśmy wyjazdy humanitarne do obozów i więzień.

W Komitecie Pomocy bardzo szybko wytworzyła się znakomita atmosfera, co chciałbym tu podkreślić szczególnie, bo z czymś takim – ani przedtem, ani potem – nigdzie się nie spotkałem. Było nas tam około dziesięciu osób, oprócz mnie jeszcze: Anna Krzysztofowicz, Maria Czyżowa, Ewa Miodońska, Tomasz Studnicki, Irena Łazarska, Wanda Lohman, Krystyna Gąsowska, Bogumiła Jaworska, ks. Stanisław Małysiak, jako przewodniczący mianowany przez kardynała Franciszka Macharskiego. Dochodziły jeszcze różne osoby, lecz te, które wymieniłem, były od początku do końca.

Złatwialiśmy masę trudnych spraw mogących budzić kontrowersję, np. sprawy zapomóg pieniężnych – nie jednorazowych, ale wieloletnich. Dyskutowaliśmy dotąd, aż wszyscy byli przekonani, że powinniśmy postąpić tak, a nie inaczej. Nikt nie miał wrażenia, że w dyskusji był na straconej pozycji, że przegrał. Zawsze osiągaliliśmy konsensus, nigdy nie przeprowadzaliśmy głosowania. Cały nasz zespół był znakomity, w większości osoby z Uniwersytetu. Pracowało nam się przez dziesięć lat zgodnie. Każdy był zaangażowany. To było fantastyczne doświadczenie.

**AMK** – *Często jeździł Pan do obozów internowanych i więzień...*

**WZ** – Do więzień było trudniej, do obozów łatwiej, bo były urządzane *ad hoc*.

Pierwsze dwa wyjazdy odbyły się moim autem – ładą, bo nie było jeszcze w Kurii furgonu. Tą ładą z ks. Józefem Tischnerem objechaliśmy prawie całą Polskę. Pojechaliśmy aż do Gołdapi, przy północnej granicy z ówczesnym Związkiem Radzieckim. Pamiętam, że były trudności z wejściem do obozu w Gołdapi, ale ks. Tischner paroma góralskimi dowcipami rozbroił strażników. Pozwolili nam wejść na teren obozu internowanych i na swobodne rozmowy z internowanymi. Tak samo było w innych obozach. Przed pierwszymi wyjazdami trzeba było chodzić na milicję, aby dostać przepustkę na podróż, bo ruch samochodowy był kontrolowany. Mieliśmy przy sobie zaświadczenia z Kurii, stwierdzające, że taki a taki działa w imieniu Kurii Arcybiskupiej w Krakowie i prosi się o udzielenie mu/jej pomocy. Nie pamiętam, czy nawet wszędzie trzeba było pokazywać to zaświadczenie. Samochód osobowy był wyładowany, jak tylko się dało. Nie robiliśmy, oczywiście, żadnej dystrybucji, bo internowani byli znakomicie zorganizowani. Bardziej luksusowe towary, jak kawa, herbata, czekolada, porządne mydło czy pasta do zębów pochodziły z transportów, których wtedy już wiele przyjeżdżało z Zachodu, głównie z Niemiec, Szwajcarii, Francji i Skandynawii.



Ciężarówki wjeżdżały tyłem na Wiślną od strony Franciszkańskiej, trzy kroki od magazynu.

Trzeba podkreślić, że ludzie z Krakowa i okolicy przynosili do Komitetu wiele artykułów żywnościowych. Rolnicy indywidualni zorganizowali w Krakowskim zbiórkę warzyw. Kiedyś dostarczono nam tonę pomidorów i ogórków i moją ładą wozilem te pomidory do więzienia w Piaskach pod Kielcami.

**AMK** – *Jak często jeździliście do obozów i więzień?*

**WZ** – W pierwszym okresie 1982 roku takich wyjazdów było może osiem albo dziesięć. Jeździli z nami również ks. Stanisław Małysiak, ks. biskup Albin Małysiak, o. Andrzej Kłoczowski OP. W którymś momencie zaczęliśmy spotykać się na miejscu z podobnymi konwojami z Prymasowskiego Komitetu Pomocy z Warszawy. Wtedy rozpoczęliśmy pewną współpracę z komitetem warszawskim: chodziło o to, aby nie dublować się, a jeździć do obozów, do których nikt nie jeździł. Tak poznałem panią Maję Komorowską, panią Ewę Krasieńską, pana Stanisława Czartoryskiego i inne osoby. Ta współpraca funkcjonowała, dopóki były obozy, czyli w praktyce do końca 1982.

**AMK** – *Jaka była atmosfera w obozach? Jak wyglądali internowani?*

**WZ** – Atmosfera była dobra, internowani nie wyglądali na zmaltretowanych. Z wieloma z nich, szczególnie z Krakowa, znaliśmy się z okresu pierwszej „Solidarności”. Byłem z ks. Tischnerem m.in. w areszcie w Iławie, gdzie uwięzieni byli ci, którzy wracali 12 grudnia owym samochodem z Gdańska, o czym już wspominałem. Atmosfera była tam dobra, bojowa – cokolwiek to słowo wtedy znaczyło. Jak mówię, byli bardzo dobrze zorganizowani.

**AMK** – *Drugim aspektem działalności Komitetu Pomocy była pomoc rodzinom uwięzionych i internowanych...*

**WZ** – Szczególnie pomoc tym rodzinom, których aresztowany mężczyzna był żywicielem. To były paczki żywnościowe i odzieżowe, ale również pieniądze. Dysponowaliśmy sporymi kwotami; nie jestem w stanie powiedzieć jakimi, bo akurat ja pieniędzmi się nie zajmowałem. Panie siadały co wieczór, otwierały skarbonkę i liczyły. To były pieniądze od emerytów, księży z różnych parafii, również prowincjonalnych, no i oczywiście od mieszkańców Krakowa. Czasem większą kwotę wrzucali „młodzi” kapitaliści z inicjatywy prywatnej w Krakowie, np. pan Koprowski, właściciel sklepów z artykułami metalowymi, wrzucił kiedyś pół miliona złotych, a grzywny w kolegiach orzekających wynosiły zwykle po 20 000 złotych.

**AMK** – *W jaki sposób płaciliście te grzywny?*

**WZ** – Jeździliśmy do tzw. kolegiów orzekających ds. wykroczeń. Nie zawiadamiano rodzin zatrzymanych w manifestacjach ulicznych, kiedy i gdzie odbędzie się rozprawa. Kolegia orzekające bywały głównie przy ul. Grodzkiej 65 i w Nowej Hucie przy placu Zgody, być może jeszcze gdzieś indziej. Te dwa miejsca zapamiętałem, gdyż tam dość regularnie chodziłem z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi, zawsze z jakimś księdzem, bo to jednak dawało pewne poczucie bezpieczeństwa (często z ks. Wojciechem Stokłosą, który teraz jest proboszczem w Woli Duchackiej). Procedura była taka, że grzywny, około 20 000 zł, natychmiast niezapłacone, zamieniane były automatycznie na areszt. Ponieważ nikt ze stawianych przed kolegium nie miał takiej kwoty przy sobie, ani nawet taką nie dysponował, było to więc zwykłe oszukaństwo – to nie była grzywna, lecz areszt. Dowiadaliśmy się zatem, gdzie i kto był stawiany przed kolegium. Chodziliśmy tam, wysłuchiwalismy nazwiska oskarżonego, zarzutów, jakie stawiał funkcjonariusz milicji, wysokości orzeczonej grzywny, po czym szliśmy do kasy i płaciliśmy.

Mam tutaj ciekawe wspomnienie. Wielu z tych, którzy nie zapłacili grzywny ani nikt za nich nie zapłacił (bo np. nie zdążyliśmy dowiedzieć się o ich rozprawie przed kolegium), lądowało w areszcie przy ul. Czarneckiego w Podgórzu. Od Konrada Siermontowskiego, księgarza i dziennikarza, lub jego żony Barbary dostałem sygnał, że w tym więzieniu ma znajomą funkcjonariuszkę biura i abym tam poszedł. Wobec tego poszedłem tam z zaświadczeniem, że mam upoważnienie do załatwiania spraw prawnych związanych z Kurią. Personel biurowy tego aresztu stanowiły same kobiety. Powiedziałem im: „Niepotrzebnie panie macie tu tyle roboty, bo my zapłacimy grzywny, a skazani pójdą do domu”. Na to one: „Nie ma sprawy” i wypisały mi nazwiska. Zapytałem jeszcze: „A może są jacyś ludzie w aresztach, którzy do was nie trafili?”. Zadzwończyły do komendy milicji na Mogilskiej i podały mi parę kolejnych nazwisk.

Było kilka dat, takich jak 3 maja, 31 sierpnia, 11 listopada, 13 grudnia, po których akcja „kolegialna” ruszała ostro. Byłem w tym areszcie parę razy. Te panie mi bardzo pomogły. A po latach ze zdumieniem przeczytałem w aktach IPN-u ich meldunki o tym, że ja przychodziłem do nich, pytałem o to i o to, a one powiedziały mi to i to. Wszystko się zgadzało. Do dziś nie wiem, w jakim charakterze funkcjonowały. Myślę, że chciały pomóc, ale bały się ryzykować, więc donosiły.

**AMK** – *W Komitecie Pomocy spisywał Pan relacje osób zwolnionych z internowania...*

**WZ** – To był kolejny aspekt naszej działalności. W gruncie rzeczy, moim głównym zajęciem w Komitecie Pomocy było zbieranie informacji i przekazywanie ich prasie podziemnej. Raz w tygodniu na podstawie relacji ludzi,

którzy przychodzili do Komitetu, przygotowywałem serwis informacyjny. Ten wyszedł z obozu internowania, tamten z więzienia, kogoś innego wyrzucili z pracy, kogoś pobili. Spisywaliśmy te relacje. Było tych informacji bardzo wiele, może dlatego, że ludzie wiedzieli, że jeżeli będą mieli kłopoty, znajdziemy im adwokata czy lekarza albo pomożemy materialnie.

To byli ludzie ze wszystkich środowisk, w ogromnej liczbie studenci. Co tu dużo gadać, inteligencja szybciej wychodziła z obozów internowania – może to niesprawiedliwe tak mówić, ale tak było. Ci ludzie przychodzili przestraszeni, a ja starałem się rozładować ich napięcie i prosiłem, aby wszystko mi opowiedzieli. Otwierali się bez wyjątku, łącznie z funkcjonariuszami, bo przecież i tacy do nas docierali. A ja to wszystko spisywałem, nigdy nie nagrywałem. Następnie robiłem serwis informacyjny, po który zgłaszali się wydawcy rozmaitych krakowskich gazetek podziemnych. Dostawali ode mnie po karteczkę: ilu zamknęli, jaki zapadł wyrok, za co, jaka jest sytuacja rodzinna skazanego itd. Zapewne mieli jeszcze inne źródła informacji. Te relacje dały mi podstawę do napisania książki *Stan wojenny w Małopolsce*. Pierwsze wydanie było powielaczowe, wówczas chciałem utrwalić to „dziś”. Po latach wydano ten materiał powtórnie<sup>1</sup>.

**AMK** – *Jak wyglądali ludzie, którzy wracali z obozów i więzień?*

**WZ** – Nie. Tego nie potrafię powiedzieć. Opowiadali rozmaite rzeczy, ale jako zaprzeszłe.

Ponieważ przygotowywałem ten serwis informacyjny, starałem się – nie zawsze za wiedzą członków Komitetu Pomocy – chodzić na wszystkie rozprawy polityczne, na które udało mi się dostać w Krakowie, Katowicach i Bielsku-Białej. Byłem nawet na rozprawie przy drzwiach zamkniętych Mieczysława Gila i Edwarda Nowaka w Sądzie Garnizonowym w Krakowie, przy ul. Rakowickiej. Po prostu kolega z mojego rocznika studiów, Andrzej Żuraniewski<sup>2</sup>, który w stanie wojennym został powołany do wojska i wyznaczony do sądu garnizonowego jako sędzia, wprowadził mnie tam.

W tych różnych procesach charakterystyczne było, że jeżeli oskarżony mówił, że coś zeznał, ponieważ go bili, to nigdy nie widziałem najmniejszej reakcji ze strony sędziego, prokuratora, a nawet adwokata. Jakby nic takiego nie zostało powiedziane, nikt tego nie słyszał, to po prostu przelatywało. Adwokaci nie reagowali zapewne dlatego, że wiedzieli, iż to nie ma żadnego znaczenia.

<sup>1</sup> Wiesław Zabłocki, *Stan wojenny w Małopolsce*, Arcana, Kraków 1994.

<sup>2</sup> Jeden z krakowskich adwokatów opowiadał mi, że Andrzej Żuraniewski podczas narad sędziowskich demonstracyjnie czytał gazetę i znad tej gazety rzucał tylko słowo „Nie”. Oczywiście, był w tych sprzeciwach osamotniony (AMK).

**AMK** – *Mówił już Pan o ważnej roli księży. Jaka była rola kardynała Macharskiego?*

**WZ** – Nie bardzo potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Kardynał zezwolił, aby w budynku, w którym szefował, bez przerwy działał zespół Komitetu, co na pewno dezorganizowało pracę Kurii. Nie było wtedy żadnych ograniczeń wejścia do Kurii, krat – jak są teraz. Wchodził każdy, kto chciał i kiedy chciał, nikogo nie legitymowaliśmy – odwiedzało nas kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt osób dziennie. Po różnych manifestacjach bywało, że i setka ludzi stała pod drzwiami. Kardynał znosił to cierpliwie.

**AMK** – *Czy były momenty zagrożenia Komitetu Pomocy przez bezpieczeństwo?*

**WZ** – Nie. Ja momentów zagrożenia w Kurii nie czułem. Zwinęli nas w tych kolegiach orzekających kilkakrotnie, ale takie zatrzymanie zawsze kończyło się po paru godzinach. Natomiast po napadzie na Prymasowski Komitet Pomocy w Warszawie obawialiśmy się, że coś takiego może się stać i w Krakowie. Pomogliśmy więc założyć podobne komitety w około dziesięciu parafiach w Krakowie – np. św. Józefa w Podgórzu, św. Mikołaja w Śródmieściu – na wypadek, gdyby coś stało się z nami.

Ktoś z bezpieki mógł wejść do Komitetu w Kurii. Niektóre panie mówiły, że rozpoznają esbeków po tym, jak ścinają obcasy, ale facecjonści zawsze swoje wiedzą. Kiedyś, na początku jeszcze, ktoś po południu ukradł skarbonkę zrobioną z oklejonego pudełka po butach; nie wiadomo, ile pieniędzy tam wtedy było.

**AMK** – *Niezależnie od Komitetu Pomocy przy Kurii, w Nowej Hucie działały co najmniej trzy podobne komitety.*

**WZ** – Tak jest. Jednakże w stanie wojennym czołowymi działaczami z Nowej Huty zajmował się nasz Komitet. W Hucie działalność pomocy niekiedy dublowała się, bywały nawet z tego powodu rozmaite konflikty. Te nowohuckie komitety miały ogromne zasługi, ale nasz Komitet od początku do końca działał mniej więcej równo – był jak instytucja.

**AMK** – *Czy były kontakty Komitetu Pomocy z podziemną „Solidarnością” na Uniwersytecie Jagiellońskim?*

**WZ** – Były, ale niesformalizowane. Basia Niemiec przychodziła na Franciszkańską prawie codziennie. Tam spotykała znajomych, mogła w korytarzu bezpiecznie porozmawiać. Ja w strukturach uniwersyteckich w zasadzie nie funkcjonowałem. Nie kontaktowałem się z nimi. Co oni dokładnie robili ani co z tego wynikało – tego nie wiem do dzisiaj. Być może jestem w tym względnie trochę niesprawiedliwy, bo utrzymywałem pewne kontakty w ramach struktury uniwersyteckiej. Pomagały mi one w kolportowaniu gazety, którą wydawałem, przekazując ją dalej.

**AMK** – „Paragrafu”?

**WZ** – Tak. To jeszcze inna historia. Dostaliśmy kiedyś w transporcie z pomocą maszynę drukarską, ale nie bardzo można było ją zagospodarować w ramach Komitetu. Wpadłem wtedy na pomysł, że pod ochroną działalności w Komitecie będę bezpieczny, drukując gazetę, a później książki (wydaliśmy bodaj ze dwadzieścia tytułów).

Kanałami kościelnymi (notabene, w materiałach esbeckich, do których wiele lat później miałem dostęp w IPN-ie, nasz Komitet Pomocy był oznaczony kryptonimem „Kanał”) została powierzona mi opieka nad ukrywającym się przewodniczącym „Solidarności” z kopalni soli w Bochni, Józefem Mroczkim, młodym wówczas człowiekiem. Ukrywałem go najpierw w pewnej wsi pod Krakowem, potem przewiozłem go do Bieżanowa. Powiedziałem mu: „Nie masz co robić, drukuj”.

Byłem również związany z grupą opozycjonistów z Warszawy. Spotykaliśmy się w Warszawie, próbując rozwiązać rozmaite sprawy, np. status więźnia politycznego. Nikt przecież nie wiedział, czym i kiedy to się skończy. Miałem więc sporo informacji. Ponieważ te informacje miały w jakimś sensie charakter prawniczy, w 1985 postanowiłem wydawać dwutygodnik „Paragraf”. To był okres, kiedy pisma podziemne zaczęły siadać. Do współpracy dobrałem sobie Aleksandra Herzoga, później prokuratora generalnego w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, i w trójkę z Józim Mroczkim robiliśmy tę gazetę. Problem był z papierem.

**AMK** – *Właśnie, skąd wtedy braliście papier?*

**WZ** – Ze sklepów papier zniknął, ponieważ władza nie pozwalała go dystrybuować. Problemem była też jego objętość. Na wydanie jednego numeru dwutygodnika, tego właśnie „Paragrafu” w nakładzie 2000 egzemplarzy, papier nie wchodził do bagażnika łady<sup>3</sup>.

Z papierem było tak: weszliśmy w kontakt z kilkoma ludźmi, którzy pracowali w wytwórni papieru w Kluczach koło Olkusza. Wychodząc z pracy, pod płaszczem wynosili po ryzie. Po tygodniu połowa pokoju w którymś mieszkaniu w Kluczach była zawałona papierem. Trzeba było tylko tam pojechać, załadować auto i przywieźć. To było ryzykowne, bo samochody były zatrzymywane na drodze przez patrole milicji. Zawsze więc jechaliśmy w dwa auta. Jedno z przodu – puste i, jak najbliżej za nim, drugie – z papierem. Chyba że dwa razy zdarzyło się, że ten pierwszy samochód zatrzymano, a drugi natychmiast go objechał niezatrzymany. Tak woziliśmy papier do końca.

---

<sup>3</sup> Później wszystkie „Paragrafy” zostały wydane w dwutomowej książce: Aleksander Herzog, Józef Mroczek, Wiesław Zabłocki, *Paragraf, ostatnie lata PRL*, t. 1–2, Fundusz Gospodarczy, Kraków 1998.

**AMK** – *Czy Arcybiskupi Komitet Pomocy działał do 1989 roku?*

**WZ** – Do jesieni 1989, czyli jeszcze po wyborach. Nie byliśmy pewni, czy to wszystko udało się do końca.

**AMK** – *Czy brał Pan udział w kampanii przed wyborami 4 czerwca 1989?*

**WZ** – Tak. W tych wyborach od samego początku brałem dość aktywny udział. Byłem przewodniczącym z ramienia „Solidarności” Okręgowej Komisji Wyborczej w Podgórzu.

Potem wybrano mnie do Trybunału Stanu, a równocześnie byłem ekspertem prawnym Komitetu Obywatelskiego; pisałem opinie prawne do ustaw.

**AMK** – *Miał Pan później dostęp w aktach IPN-u do raportów Służby Bezpieczeństwa dotyczących Uniwersytetu. Napisał Pan książkę pt. „Co o nas wiedzieli?”<sup>4</sup>. Książkę przeczytałem. Nie wynika z niej, żeby wiedzieli zbyt dużo.*

**WZ** – Oni nie wiedzieli nic. Wszystkie informacje były typu „wiem, bo on gdzieś słyszał”. Nie udało im się. To jest coś, co dobrze świadczy o Uniwersytecie i jego środowisku. Nie istniało nawet podejrzenie, że ktoś z czołówki uniwersyteckiej „Solidarności” mógł współpracować z bezpieką. Aż trudno w to uwierzyć. Jednak Uniwersytet to było coś. Nawet jeżeli na Uniwersytecie byli prawdziwi agenci bezpieki, to było ich tylko paru.

Mówiliśmy tu wcześniej o owej opinii prawnej na temat stanu wojennego. Ja ją robiłem w biały dzień, konsultowałem ją z kolegami w holu Collegium Novum. Nikt o tym nie doniósł. Wiedzieli tylko z jakiego kręgu wyszła, była przecież podpisana „Prawnicy Uniwersytetu Jagiellońskiego”.

**AMK** – *Jak z perspektywy lat patrzy Pan na tamten okres swojego życia?*

**WZ** – To był najbardziej aktywny, najlepszy okres mojego życia. Miałem poczucie, że robię coś ważnego, oczywiście, na niskim szczeblu, ale piasek w te peerelowskie tryby sypałem. To dawało mi ogromną satysfakcję. Każdy człowiek powinien mieć świadomość, że jeżeli podejmuje jakieś działania, to płyną z tego konsekwencje, które nie zawsze muszą być przyjemne. To była cena, którą warto było zapłacić.

Moim zdaniem istota oporu tkwiła w dwóch punktach. Pierwszym była prasa i wydawnictwa podziemne. Prasa podziemna pokazywała ludziom, że istnieje bliżej nieokreślony, ale szeroki krąg, który myśli podobnie jak ja. Drugim były komitety pomocy, które po prostu mówiły: „Jeżeli stanie ci się coś z powodu działalności, my ci pomożemy”. To były wartości, które dodawały ludziom odwagi, nawet komuś, kto nie miał stalowego charakteru.

Tekst autoryzowany 21 lutego 2010

<sup>4</sup> Wiesław Zabłocki, *Co o nas wiedzieli? NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Jagiellońskiego w dokumentach SB*, Arcana, Kraków 2005.